

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor założyciel X. Józef Kłos, redaktor nacz. X. Fr. Forecki



Brat Albert, twórca wielkiego dzieła miłosierdzia w Polsce

(Objaśnienie obrazka na str. 830, artykuł o Bracie Albercie na str. 829)

DWIE AMBONY

W dniach 21 i 22 listopada b. r. odbywał się w Święciance, powiatowym mieście województwa wileńskiego, jubileuszowy zjazd członków Związku Nauczycielstwa Polskiego z okolicy.

Przybył na ten zjazd prócz przedstawicieli władz, prezes całego Związku Nauczycielstwa Polskiego p. Kolanko.

To więc, co się działo na tym zjeździe, działo się w jego obecności, jako najwyższego przedstawiciela zasad i dążeń Związku.

A działy się rzeczy, których echo odbiło się po całej Polsce.

Na zjeździe paść miały słowa:

„Będziemy walczyli z ciemnymi siłami wstecznicstwa i przeklętym wychowaniem jezuickim, które zgubiło i gubi Polskę”.

Jeden z członków Związku mówi, jak kler żeruje na nieświadomości ludu a sam jest zażytkiem ciemnoty.

Inny znów wyraża zjazdowi uznanie, że rozpoczął obrady bez nabożeństwa.

Z głośnymi protestami odrzucono wniosek jednej z nauczycielek, by obrady rozpoczynać Mszą św.

Drugiego dnia na obradach zrywa się największa burza.

Preфекt Państwowego Gimnazjum w Święciance ks. Gramz na kazaniu w kościele potępia wystąpienia Związku Nauczycielstwa Polskiego i wzywa do odmówienia modlitwy za zblakanych. Na popołudniowe kazanie przybywa już bojówka i ukryta na chórze zakłóca spokój różnymi okrzykami. Dyrektor gimnazjum p. Antoszczuk zawieszka ks. Gramza w czynnościach prefekta.

A wieczorem najnamyślniejszy z całego Zjazdu objaw. Na towarzyskim zebraniu w Kasyne członkowie zjazdu nastawiają radio na Moskwę, a gdy wicestarosta, obecny na zebraniu, radzi nastawienie radia na inną falę członkowie związkowi zamykają radio.

Katolicy rodzice Święciance są oburzeni. Zbierają się, aby wnieść protest do władz przeciwko temu, co się na zjeździe działo.

Piszą w tym proteście:

„Protestujemy przeciwko prowokacyjnemu

zachowaniu się niektórych uczestników zjazdu i hańbiącemu godności nauczyciela występowaniu przeciwko podstawom religijnego wychowania naszych dzieci.”

„Potępiamy ogłoszony w rezolucjach zjazdu bojkot pism religijnych na terenie szkoły.”

Protest domaga się w dalszym ciągu usunięcia nauczycieli gorszących dzieci swym wrogim stosunkiem do Kościoła i drażniących uczucie religijne społeczeństwa.

Wysłano ten protest do p. Wojewody, do Kuratorium Okręgu Szkolnego i do Ks. Arcybiskupa Metropolity. Pod protestem umieszczono 320 podpisów.

Jeżeli jeszcze kto wątpił o wrogim nastawieniu przywódców Związku Nauczycielstwa Polskiego do Kościoła Katolickiego, to przebieg tego zjazdu w obecności prezesa całego związku jest tego wyraźnym dowodem.

Nie pomoże tu uchwała walnego zebrania Ogniska Związku Nauczycielstwa Polskiego we Lwowie w dniu 2 b. m., że nauczycielstwo nigdy nie prowadzi i nie prowadzi walki z religią.

Ależ tak! Wierzmy. Wierzmy, że nauczycielstwo tej walki nie prowadzi. My tylko widzimy i na faktach wykazujemy, że prowadzą je do tej walki związkowi przywódcy i władcy.

I jeszcze jedno. Jeżeli religię pojmujemy się w oderwaniu od obrzędów, od duchowieństwa, jako coś, co sobie każdy wedle swojej prywatnej wiedzy i woli może pojmować i prywatnie w to wierzyć, to przeciw takiemu pojmowaniu religii musimy stanowczo założyć sprzeciw. Dla nas katolików religia jest nieodłączna od dogmatów, obrzędów, duchowieństwa. Innej dla nas nie ma. A na zjeździe święciańskim jak się wobec niej zachowano?

Rzucono się na ks. Gramzę za kaza-

nie, bojówka przeszkadzała mu w kościele, dyrektor go zawiesił w urzędowaniu. Za co? Za to, że po katolicku, na katolickiej ambonie wystąpił w obronie obrażonych na zjeździe wierzeń i uczuć katolickich.

A więc są dwie ambony o różnych widać prawach. Ta nowa, świecka, która swoje radio nastawia na Moskwę, z której wolno rzucać potępienia na Kościół, na duchowieństwo, odrzucać Mszę św. jako rozpoczęcie z Bogiem obrad i domagać się bojkotu pism katolickich. Z tej ambony wolno to wszystko bezkarnie mówić. Nikogo nie zawieszka się w urzędowaniu. Ale gdy z tej drugiej ambony, Chrystusowym rozkazem uprawnionej, wiekami głoszenia prawdy Bożej i obrony Kościoła uświęconej, padnie głos protestu przeciwko obrażaniu Kościoła, gdy kapłan, którego obowiązkiem świętym jest więcej słuchać Boga aniżeli ludzi, z tego swojego urzędu wystąpi przeciwko tym, którzy zamiast ku Bogu i Kościołowi prowadzić, od niego odwodzą — to wówczas, jak na zawołanie, pojawia się zawieszenie w urzędowaniu.

Więc jednym wychowawcom, powołanym z konstytucji i ustawy do religijnego wychowania młodzieży szkolnej, wolno tę religię piętnować i obrażać, a temu, który jej broni zgodnie ze swoim kapłańskim powołaniem, i obowiązkiem nakazanym obowiązującymi w Polsce przepisami — temu zakazuje się urzędowo wstępu do szkoły!

Naprawdę dwie ambony o różnych prawach. Katolickich praw będziemy bronić.

Ewangelia na czwartą niedzielę Adwentu

zapisana u św. Łukasza w rozdziale 3, wiersz 1—6.

W piętnastym roku rządów Tyberiusza cesarza, — gdy Poncjusz Piłat zarządzał Judeą, a Herod był tetrarchą Galilei, Filip zaś, brat jego, tetrarchą Iturei i okręgu Trachonitis, gdy Lizaniasz, jako tetrarcha, rządził Abileną, a Annasz i Kajfasz byli arcykapłanami, — odezwał się głos Pański nad Janem, synem Zachariasza, na pustkowiu. I przeszedł całą okolicę nadjordańską, głosząc chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów, jak napisano w księdze przepowiedni Izajasza proroka (40²⁻³):

„Głos się rozlega w pustkowiu:

Droge gotujcie dla Pana,

Jemu prostujcie ścieżyny.

5 Niech wszelki parów zapelnią, szczyt każdy zniży i wzgórze, niech drogi krzywe sprostują, i chropowate wygładzą...

6 A wtedy człowiek wszelaki Zbawienie Boże obaczy”.

NAUKA

„Chrzest pokuty”...

Bądźmy szczerymi wobec siebie samych i powiedzmy sobie — z ręką na sercu —, że minęły dawno te czasy, kiedy to Adwent był dla katolików okresem pokuty.

A dziś?...

Stwierdźmy to — w imię szczeroci —, że dzisiaj adwentowe nawoływanie do pokuty brzmi obco w naszych uszach. „Zalatuje” bardzo zamierzchłymi czasami.

A jednak nigdy tak nie był potrzebny światu „chrzest pokuty”, jak właśnie obecnie, gdy zbrodnia stała się niemal chlebem codziennym, powszednim, gdy nie ma dnia, aby dzienniki nie notowały takiego czy innego przestępstwa.

...My jesteśmy wierzącymi dziećmi Kościoła świętego i rozumiemy, dlaczego to Matka Najświętsza, ukazując się w Lourdes (czytaj: Lurd) lub na górze La Salette (czytaj: Salet), kładzie nam tak bardzo gorąco na sercu: obowiązek pokuty.

Pokuta nasza ma być odpowiedzią na rozluźnienie moralne, które wszystkimi szczelinami wsącza się w społeczeństwa nowożytnie, przekreślając różnice pomiędzy dobrym a złym, ośmieszając cnotę i uczciwość, podrywając powagę Prawa Bożego.

...Jakże błogosławnym byłoby dla naszych czasów przyjście św. Jana Chrzciciela! Czy dziś nie byłby stokroć bardziej potrzebny „Chrzest Pokuty”?... Oby stał znów między nami św. Pokutnik znad Jordanu i rozbijał twardą opokę serc swym

wołaniem donośnym: „Gotujcie drogę Pańską! Czyńcie proste ścieżki Jego! Niech wszelka dolina będzie napełniona! Niech każdy pagórek ponizony będzie! Niech krzywe miejsca będą proste!”...

Surowe kary, ostre sądy i trybunały, bardzo zapobiegliwe przepisy policyjne — na nic się nie zdadzą w dzisiejszym zalewie zła i przewrotności.

Musi przyjść „otrzeźwienie” wraz ze „światłem z góry”, Łaską Bożą, na dusze ludzkie poprzez szczerą pokutę.

Pan Jezus powiedział bezapelacyjnie: jeśli pokutować nie będziecie, wszyscy, zginiecie! Nie jest to jeno jakaś pogórka... Jeśli nie odwrócimy się od złego stanowczo, jeśli nie obrzydzimy sobie grzechu, jeśli nie zadecydujemy powrotu do Boga, zguba nasza wieczna jest nieuchronna!

...I żłóbek nie pomoże tym, którzy duszy swej nie obmyją „Chrztem Pokuty”.

Czyż ten żłóbek Betelejmski nie jest poważnym wyrzutem dla współczesnego świata, który „w złem leży”?...

O. Henryk.

JUŻ JEST BARDZO ZIMNO...

(W ogrzewalni)

Adam Chmielowski, późniejszy brat Albert, urodził się w 1846 roku, jako syn naczelnika komory celnej. 17-letni Adam zgłasza się do powstania. Ciężko ranny bez jęku znosi straszliwy ból przy odcinaniu nogi. Zetknawszy się w Krakowie jako człowiek żyjący w dostatku, mający wielkie powodzenie w malarstwie i należący do pierwszego towarzystwa — ze skrajną nędzą ludzką, postanowił całkowicie oddać się na usługi ubogich. W 1888 roku wstępuje w ślady Biedaczyny z Asyżu, zakłada Zgromadzenie Braci Albertynów i Sióstr Albertynek dla posługi ubogim. Opowiadanie niniejsze kreśli nam pierwszą wizytę A. Chmielowskiego w ogrzewalni dla najuboższych Krakowa! — Umarł r. 1916.

Ostatnia wypłata...

Przedsiębiorca właśnie wypłacał robotnikom.

Brali w milczeniu pieniądze, zaciskali je w rękach. Kiedy znowu przyjdą do nich nowe pieniądze?

Ostatni otrzymał swoją skąpą zapłatę Antek

Miał siedemnaście lat, ale był wyrośnięty, szeroki w barkach, silny. Dobre były te miesiące pracy ciężkiej, ale pracy. Czuł się w szeregu, potrzebny, zorganizowany. Należał do społeczeństwa. Teraz znów pójdzie na ubocze.

Antek wiedział, że już teraz nie tak prędko uda mu się dostać jakąś pracę. Odszedł ponuro od tego wielkiego domu, któremu dał swój pot, który pomógł wznieść. Ale teraz nie było w nim miejsca dla niego. Kto inny znajdzie miejsce i odpoczynek w nowym gmachu.

Dokąd pójść? Ta wypłata tygodniowa, tak mizerna nie wystarczy na dalsze opłacanie mieszkania, w którym dotychczas przebywał. Kto wie, jak długo będzie się błąkał po ulicach, po przedsiębiorcach, jak ten pies bezpański, zanim znajdzie znów rusztowanie, dół z wapnem zarobionym, kielnię i mur, chciwy cegieł, chciwy wzrostu...

Szedł, nie mogąc postanowić, co ma zrobić ze sobą. Bo mieszkać dalej w izdebce stróża, gdzie płacił za kąt, nie było już możliwości.

Na rogu ulicy, koło szynku stało kilku drabów w łachmanach, o twarzach bezczelnych i obrzękłych. Mówili głośno, wyzywająco, jakby chcąc okazać całemu światu, że ich nikt nie obchodzi.

Zbliżył się do nich nieśmiało.

— Gdzie ta ogrzewalnia, proszę panów? Gdzie można spać bezpłatnie?

— Oho, cały Kraków już wie, gdzie to dobrodziejstwo wszawie i śmierdzące, tylko pan nie wie? Chodź pan, pokażemy.

Śmiejąc się i drwiąc z Antka, poprowadzili go do przytułku dla bezdomnych nędzarzy, niedawno założonego przez magistrat krakowski.

Policja.

Kiedy weszli, stróż, mrużąc niechętnie, wziął latarkę i wprowadził ich do obszernej sali. Buchnął na nich ckiwy, zgnily odór potu, przegrzanych ciał, złego jadu, wyziewów ludzkich. Z początku Antek nic nie widział przy świetle latarni. Potem ujrzał kłębówisko łachmanów, powykęcanych sinych i brudnych rąk. Podniosła się jedna i druga twarz straszna, opuchła, zielona z głodu albo potworna śladami, jakie wypisał na niej występek.

Usiadł na zgnilej ławie. Obok zacharzał ktoś strasznie. Antek zerwał się z przerażeniem. Tuż obok jego łokcia była twarz starca, obrośnięta niechlujnie białą szczecina, sina, z oczami w ślup.

— Zdycha, — powiedział spokojnie włóczęga, który, korzystając ze światła, starał się zatłuc jak najwięcej pasożytów, gnieźdzących się w jego łachmanach.

— Ratunku... — rzęził starzec.

Nikt się nie poruszył. Dwóch łachmaniarzy o strasznych twarzach przy małym ogarku grało w karty, klnąc i bluźniąc.

Migocący ogarek rzucił światło na wielką postać prostującą się wśród ław. Przechylił w tył głowę. Wyrosła przy ustach butelka, rzucając na ścianę fantastyczny cień. Zabulgotał w gardle

Zraniony powstał i runął na oślep z pięściami na chwiejącego się monotonie pijaka. Zakłębiło się. Ozwały się okrzyki zgrozy. Spod ogrzanej rury, gdzie zdawało się, były tylko kupy gałganów, rozległ się cichy, bezsilny płacz dzieci. Nieśmiały, pełen lęku, wyrwywający się gwałtem ze zmęczonych, przeziębionych piersi, pełnych rzeżeń i chrypu.

Na salę wpadł stróż, oświetlając wysoko podniesioną latarką splecionych ze sobą, wściekle szamoczących się włóczęgów. Zaklął i wypadł ze sali. Po chwili wrócił wraz z policjantem. Oba zabrano, tego który skaleczył i tego który został skaleczony, pomimo klątw, tłumaczeń się, oporu... Na chwilę zapanaowała cisza.

Człowiek umiera...

Antek myślał, czy nie lepiej wyjść na wiatr i ostre zimno wczesnej jesieni, zamiast dłużej przebywać w tym piekle? Ale gdzież pójdzie? Skulonego na ławce na plantach, w wykuszu muru, pod płotem niezawodnie policjant znajdzie i odstawi do komisariatu albo do tej samej ogrzewalni...

Leżący obok niego człowiek ostatni raz jęknął:

— O Matko Najświętsza, ratunku...

Potem ucichł zupełnie. Antek wyciągnął rękę i w półmroku namacał jego twarz sztywną i nieruchomą.

— On umarł! — krzyknął głośno, nieswoim głosem.

Wzbudziło to na chwilę sensację. Jeden z mężczyzny zbliżył się ze świeczką w rękę i nachylił nad leżącym.

— Oho, ani zipie, — zawołał, — przejechał się zgnięty do lepszej karczmy. Już mu u Sztancmana się sprzykrzyło. Na kredkę przestali dawać.

— Może mu tam w pierwszej chwili święty Pieter zborguje, nim się opatrzy, że klejent nie osobiwy.

Zaśmiano się grubymi głosami.

Dzieci pod rurą zapiszczały, jak przyduszone kocięta.

— A to mnie oblażło, — zawołał jakiś głos, koło ławy z umarłym, — dobytek ze zmarłaka ucieka. Nic oprócz wszy nie zostawił.

Po raz pierwszy w publicznej ogrzewalni.

Drzwi zaskrzypiały. Ostra smuga światła z latarni znowu czerwonym nożem przecięła kłębiącą się czarność sali. Szło kilku ludzi. Ktoś, idąc, stuknął nogą drewnianą.

— A to, proszę wielmożnych panów, — mówił układnie i uniżenie stróż, — istne piekło. Łajdusy nijakiego porządku nie znają, piją, biją się, gniją. W brudzie, w smrodzie się poniewierają. Ze dwieście



Mal. artysta Zyg. Wierciak

Adam Chmielowski zaciąga się w szeregi powstańcze.

plyn. Pijak zachwiał się na nogach. Zachrypiął plując wyrazami sprośnymi i okropnymi. Rozmachnął się i cisnął butelkę na kilku ludzi, śpiących na środku, wprost na zabłoconej i zaplutej podłodze.

Odpowiedział mu wrzask. Jeden ze śpiących podniósł się gwałtownie, przyciskając rękę do czoła. Ktoś oświetlił go świeczką. Z czoła ciekła krew.

tego bractwa znalazło, a miejsca jest na sto.

Antek ciekawie wpatrzył się w przybyłych. Kto chciał wejść do tego miejsca zatury? Stało kilku młodych jeszcze mężczyzn. Byli to eleganccy panowie w cylindrach na głowie. Mieli na sobie doskonale skrojone płaszcze, wytworne laseczki w rękę. Wzrok Antka, zdziwiająco ze wstrętu i rozpaczki spotkał oczy niebieskie, pełne światła i dobroci. Spoczęły na nim przez chwilę. Miła ściała twarz. Ryjąca się nagle w kątach ust głęboka bruzda bólu...

Już się zawrócili. Już odchodzą. Ten, z dobrymi oczami jest kulawy. To on stuka nogą drewnianą. W Antku wszystko krzyczy:

— Jeżeli nie kłamia twoje oczy, ratuj, ratuj!...

Ale jest tylko młodym nieśmiałym chłopcem, zahukanym przez starszych od siebie, wielokrotnie skrzywdzonym i wyśmianym. Odchodzi, odchodzi... Odchodzi wybawienie. Zszedł tylko do tego miejsca okropności. Nie został. Nie wróci... On jedyny, co mógłby... Boże, Boże.

Stróż, mrużąc gniewnie, wchodzi znowu.

— Po co oni przychodzili? — pyta ktoś od ściany.

— Po co przyszli? —

wybuchnął stróż, — jasnie panice przyszli brudów waszych się napatrzeć, smrodu waszego powąchać. Widzieli teatry, widzieli bale, a tego jeszcze nie widzieli. Jak na przedstawienie tu przyszli.

Odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami. Sala na chwilę uspokoiła się. Odezwwały się zewsząd chrapania, pogwizdywania przez nos, ciężkie stękania ludzi, spoczywających niewygodnie, nękanym przez cierpienie lub głód nawet we śnie.

Antek siedzi na ławie obok umarłego i płacze.

W pracowni malarza wiszą na ścianach obrazy i szkice. Malarz o drewnianej nodze — Adam Chmielowski, który brał udział w powstaniu i stracił nogę od granatu, stoi przy sztaludze. Trzyma w ręku paletę. Patrzy na piękną głowę, która powstaje od sprawnego pociągnięcia pędzla. Prześliczna twarz kobieca zarysowuje się na płótnie.

— Pokazywać ludziom piękno, uczyć je kochać, bo w pięknie jest Bóg, — powiedział głośno.

Tak, malować piękne obrazy. A dusze, ulepione ręką Boga, w piekle nędzy i grzechu stają się potworne, szkaradne, ohydne. Idą na zatracenie. Ludzie cierpią...

Przypomniał sobie twarz pełną rozpaczki, oczy wołające, oczy krzyczące o ra-

tunek... Gdzie je widział? Kiedy? Przypomniał sobie kłębowisko łachmanów, twarze obrzękłe, zbrodnicze, twarze ludzi upadłych. Rzucił pędzel.

Nie, nie może malować piękna, kiedy ludzie cierpią... Dusze giną...

Drżącymi rękami włożył płaszcz i wyszedł na ulicę. Wiatr uderzył mu w twarz. Drobny deszcz siąpił i spowijał go dokuczliwym zimnem, wchodzącym w każdą szparę płaszcza, rozchylającego się na wietrze. Ulica między starymi murami ogrodów była pusta. Nagle rozległy się w ciszy nieśpieszne, ciężkie kroki. Zdało się, że ołowianymi stopami, nie-



Jedna z sypialni Braci Albertynów dla chłopców w domu w Warszawie przy ulicy Grochowskiej 121.



Mal. art. Zygmunt Wierciak

W roku 1914 zdarzyło się, że do przytuliska przy ul. Krakowskiej przyszedł X. Babraj z kościoła Bożego Ciała. Brat Albert zapytał go o nowiny, a wówczas on przerażony powiedział: „Straszne rzeczy! Kalisz spalony, Częstochowa w płomieniach. Co będzie, co będzie?”

— Co będzie? — powiedział jakimś dziwnym, uroczystym niemal proroczym głosem brat Albert.

— Polska będzie, Polska będzie! — powiedział po dwakroć dobitnie.

chętnie, jak na stracenie ktoś idzie przed siebie.

Chmielowski zatrzymał się. Nadchodził chłopak młody jeszcze. Ujrzał w świetle latarni twarz obrzękłą, nalaną, jakby przerażoną, wpatrzoną w jakąś przepaść, roztwierającą się przed nim.

— Dokąd idziesz? — cicho zawołał malarz.

Chłopak zatrzymał się.

— Do nory, — rzekł gorzko.

— Jakaż to nora?

— Nie wie pan? Ogrzewalnia.

Tak, to wspomnienie tej okropnej ogrzewalni nie dawało malarzowi stać spokojnie przy stalugach i tworzyć piękne obrazy. To wspomnienie ogrzewalni wypędzało go z ciepłego mieszkania i gnało po deszczu, po błocie...

Czemuż usłuchał młodych swych przyjaciół z eleganckiego świata i wprost z przyjęcia u hr. Potockiej, z salonu pełnego światła, pluszowych mebli, złotych zwierciadeł, muzyki i pięknych strojów poszedł do ogrzewalni, gdzie gnieździł się najgorszy nędzarze? Wszak tak go lubiono, tak chętnie wszyscy przyjmowali wielkiego artystę i zasłużonego powstańca, jeszcze bardziej ceniąc go za kalectwo, za bohaterski udział w walce o niepodległość? Po co wyszedł z tego świata, by już odtąd nie zaznać pokoju?

Czy nie Chrystus, brat nędzarzy, wołał go i nie dawał spokoju?

— Czy chcesz iść do ogrzewalni? — zapytał nagle nędzarza.

Był to Antek. Przeszedł on wiele od tego czasu. Pracy wciąż nie miał. Ale nauczył się najgorszych występków. Brał sam to, czego mu wrogowie świat nie dawali. Prawo do życia? Tak, nie przeciono mu prawa do życia. Ale życie to miało upływać — w ogrzewalni.

— Czy chcesz iść do ogrzewalni?

— Do piekła lepiej! — świszczącym szeptem odparł chłopak i odsunął się od malarza.

— Więc chodź ze mną.

Antek nie zawahał się ani chwili. Ten dobry dźwięk głosu, ta dziwna władza nad duszą, gdy zwrócił się do niej... Szedł za malarzem. Kiedy znalazł się w jego ciepłej pracowni, wśród obrazów, roztopiła się w nim skorupa bezczelnej złości i urągłej walki ze światem. Chmielowski zagrzebał herbatę i podał mu kubek rozkosznie parującego płynu z kromką chleba i wędliny.

Antek siedział przy ciepłym piecu i płakał. Z tymi łzami wyciekająca zastarzała, okropna nienawiść do świata sytych i zabezpieczonych.

Upłynął jeszcze szereg miesięcy. Na miejscu ogrzewalni był teraz czysty, ciepły porządek przytułek. — Nędzarze umyć, przebrani siedzieli, grzejąc się. Dookoła krzątała się, podając im miski z gorącą zupą zakonnik w brunatnym habicie, przepasanym sznurem. Chodząc, stukał nogą drewnianą. Dobrze, niebieskie jego oczy patrzyły z miłością, biorąc w niewolę każdą duszę, która się do niego zbliżyła.

Każdą opętywał dziwnym tym swoim spojrzeniem świętego i prowadził do Zbawiciela.

Za nim snuł się cicho w takim samym habitcie, tak samo uciszony,

a jednak niestrudzony i energiczny Antek z ogrzewalni, teraz braciszek Michał.

Włożywszy habit Trzeciego Zakonu św. Franciszka, Adam Chmielowski,

wielki artysta, napisał do swojej rodziny:

— Pamiętajcie, że umarł Adam Chmielowski, a został tylko brat Albert.

Anna Zahorska

ZE ŚWIATA

Jeszcze raz sławetne komisje lekarskie

Pisaliśmy już o niewłaściwych sposobach dokonywania pomiarów ciała, prowadzonych przez komisje lekarskie w szkołach średnich na Śląsku. Komisje lekarskie, przeprowadzające badania, były złożone z mężczyzn i kobiet. Wojewoda śląski p. Grażyński zarządził podział komisji na męskie i żeńskie.

„Mały Dziennik“ z dnia 25 ub. m. podał wiadomość o podobnych metodach, stosowanych przy badaniach w X gimnazjum państwowym im. H. Sienkiewicza we Lwowie. Teraz znowu rodzice uczennic państwowego gimnazjum żeńskiego im. Królowej Jadwigi we Lwowie uskarżają się na przebieg badania, jakiego dokonała grasująca w murach szkolnych komisja lekarska. Komisja składała się z trzech lekarzy mężczyzn oraz 4 pań. Należy z uznaniem podkreślić, że badaniu takiemu przeciwstawiła się nauczycielka gymnastyki p. Rudnicka.

Wobec sprzeciwu p. Rudnickiej zrobiła komisja ustępstwo, pozwalając na użycie przez badane uczennice jedynie t. zw. „fig“.

W tym to stroju musiały poddawać się badaniom wzrokowym, słuchowym, pobudliwości nerwowej, pomiaru ud itp. Poza tym dziewczęta musiały wykonać dziesięć przysiadów i skok na lekarską otomanę. W ten sposób zmuszano do demonstrowania się przed męską komisją panienki około 15-letnie.

Zadawano przy tym uczennicom w obecności ich wychowawczyń żenujące i wręcz bezczelne pytania, nie licząc się z żadnymi względami. Gdy jedna z uczennic rozebrać się nie chciała, wówczas rozebrano ją przemocą.

W zakładzie powstał formalny bunt. Uczennice jednej z klas niższych oświadczyły, że żadna siła nie zmusi ich do podobnego badania.

Zapytujemy, jak się nazywają ci panowie, którzy udali się w komisji lekarskiej do gimnazjów żeńskich celem dokonania owych badań? Dotychczas bowiem czytamy o jakiejś komisji lekarskiej. Nikt jednak nie zna składu tej komisji, nikt nie wie, z czyjego mandatu komisja przybywa do szkoły? Czy z polecenia, czy z pozwolenia kuratorium? Czy możemy się dowiedzieć, czy panowie ci są katolikami i jak się nazywa owa osoba, która przemocą zdzierła z uczennicy odzienie?

W związku z powyższym poseł ks. Stefan Downar wystosował dnia 2 bm. do p. Ministra W. R. i O. P. interpelację, w której zapytuje, czy p. Ministrowi znane są powyższe fakty, czy

p. Minister wyda zarządzenia, któreby na przyszłość zabezpieczyły młodzież przed podobnymi przykrościami, i czy pociągnie do odpowiedzialności osoby, które zarządziły tego rodzaju sposoby postępowania.

W dniu 20 listopada b. r. w Sądzie Okręgowym w Radomiu toczyła się rozprawa ks. Prospera Malinowskiego, proboszcza parafii Jasieniec-Solecki, przeciwko odpowiedzialnemu redaktorowi czasopisma „Chłopskie Jutro“ p. Józefowi Olechowskiemu, za umieszczenie artykułu pod tytułem: „Książ postawił pomnik psu“.

Sąd Okręgowy po przesłuchaniu świadków i ustaleniu, że artykuł jest w wysokim stopniu oszczerczy, ubliżający bardzo ks. Malinowskiemu, oraz obrażający uczucia religijne, skazał p. J. Olechowskiego na 8 miesięcy więzienia i 100 zł grzywny, oraz nakazał odwołanie oszczerstwa w kilku pismach.

Dodać należy, że pan odpowiedzialny redaktor do Sądu był przyprowadzony w kajdanach i pilnie strzeżony.

N. N.

Żydzi podkopują dobre imię Polaki w świecie

Jeden z naszych czytelników, który mieszka stale w środkowo-amerykańskiej republice Costa Rica, nadesłał nam list pełen oburzenia na podszywanie się żydów pod miano Polaka.

Oto wyjątki z listu: „już od 3 lat zaczęło tutaj przybywać wielu żydów z Polski. Wszyscy wzięli się oczywiście do handlu, aż kupcy tutejsi zaczęli krzyczeć. Wynik był taki, że rząd zabronił wstępu do kraju — Polakom!“

Gdy w ubiegłym roku przybył do C. poseł Polski, stale urzędujący w Meksyku, żydzi wydali na jego cześć obiad (nie było na nim ani jednego Polaka!). Nazajutrz gazety pisały, że... kolonia polska witała pana ministra... Obecnie domagają się żydzi zamianowania konsula, oczywiście — żyda.

Żydzi w całym świecie prowadzą obecnie swą niecną działalność pod osłoną imienia Polski. Gdy zaczyna się palić ziemia pod nogami, cała wina obciąża... nas — a sami, nie nazwani po imieniu prowadzą swą krecią robotę dalej.

Dzięki przecież żydom doszło do tego, że w państwach południowej Ameryki „Polka“ znaczy tyle, co kobieta lekkich obyczajów, a order Warszawy był najwyższym odznaczeniem dla międzynarodowej

bandy handlarzy żywym towarem (zmieniono to dopiero na energiczne żądanie polskiej Rzeczypospolitej w Buenos Aires).

Czas, aby w sprawie tej zabrała głos urzędowa propaganda polska.

Do swej rodzinnej wioski Rosenheim, w Bawarii, powrócił po 5-letniej niełtytności Jan Müller, który w lipcu 1933 roku wyruszył pieszo z 33-funtowym krzyżem na ramieniu do Ziemi Świętej. Po uciążliwej drodze przez Włochy i Balkan 60-letni starzec dotarł wreszcie po rozlicznych przygodach do góry Tabor w Palestynie, gdzie zatknął przyniesiony ze sobą krzyż. Przebył on przeszło 5.000 km i zużył 7 par butów i 14 par bielizny.

Według opowiadań jednego z dziennikarzy amerykańskich, który zwiedzał niedawno Meksyk, od dłuższego czasu rozwija się w tym kraju „życie katakumbowe“. 30.000 kobiet zajmuje się potajemnym nauczaniem katechizmu. Nabożeństwa odprawiają się w miejscach wiadomych tylko wtajemniczonym. Najśw. Sakrament przechowuje się w skrytkach w ścianach, w potajemnych szufladach i t. p. W ten sposób udzielono w ciągu miesiąca 40.000 Komunii św. Arcybiskup Orozco wyświęcił niedawno 20 kapłanów w diecezji Guadaluajara w podziemnej jaskini w największej tajemnicy. Kapłani pracują na wsi jako robotnicy rolni, w ubraniach wieśniaczych.

Robotnik francuski Adolphe Morteaux wskutek nieszczęśliwego wypadku na kolei miał nadwyreżony kręgosłup i chodził o kulach. Według orzeczenia lekarzy w 90 procent był inwalidą. I oto człowiek ten w nadziei, że pomoc nadprzyrodzona wróci mu zdrowie — udał się do Lour. Po zanurzeniu go w wodzie źródlanej, obok grotty, odczuł, że w organizmie jego zaszła gwałtowna zmiana — został zupełnie uzdrowiony. Zdarzenie to zostało obecnie stwierdzone przez komisję lekarską, jako fakt nie dający się wy tłumaczyć prawami natury.

W Wiedniu mieszka 49-letni Rumon — Griin, który od 19 lat nie wie, co to sen. W czasie wojny przy eksplozji granatu uległ on wstrząsowi mózgu i od tego czasu nie może spać.

A numer gwiazdkowy Przewodnika Katolickiego? Ten, różnaitością treści i dobozem ilustracji zaspokoi najwybredniejszy gust! Nasz numer gwiazdkowy ukaże się w zwiększonej objętości. Zawierać będzie 32 str. i przyniesie 2 lub 3 całostronicowe, piękne obrazki! Oprócz zwykłych działów, zawierać będzie bardzo miłe i ciekawe opowiadania na Boże Narodzenie i nową powieść Marii Czeskiej Maczyńskiej p. t. „Pięciu chłopaków pana majstra“.

W święta Bożego Narodzenia ten kolorowy, świąteczny numer Przewodnika Katolickiego winien znaleźć się w każdym polskim domu! Czytajcie go w domach swoich, pokażcie znajomym i krewnym i zachęćcie wszystkich do zaabonowania tego najtańszego i najpiękniejszego pisma katolickiego w Polsce. Rzadko zdarza się by za 20 gr. otrzymać tak piękne pismo. To też numer ten bywa, mimo bardzo powiększonego nakładu, rozkupiony do ostatniego egzemplarza. Niejedna parafia biednym bezrobotnym parafianom sprawia nim gratisowy podarunek gwiazdkowy.

W numerze noworocznym osobny kalendarz ścienny



Kraina 60 tysięcy jezior

Wodospad Imatra. Tworzy go rzeka Wuoksa, wypływająca z jez. Saima. Wśród ogromnego huku spada w każdej sekundzie w dół rzeki 500—700 kubików wody.

Nie ma tu ludzi obdartych, nie ma kryzysu...

Na dalekiej północy rozciąga się piękny kraj lasów, jezior i skał — Finlandia. Przestrzeń równą Polsce zamieszkuje zaledwie 4 i pół miliona mieszkańców, a mimo to nieurodzajna ziemia, choć bardzo starannie uprawiana, nie jest w stanie wyżywić mieszkańców i sprowadza się tu zboże i ziemniaki, mąkę i cukier z Ameryki, z Polski, z Niemiec.

Mimo wszystko Suomi (Finlandia), to kraj zamożny. Niezmierzone bogactwa lasów, wielka ilość ryb w jeziorach, rzekach i morzach, kopalnie metali, doskonale hodowle bydła i drobiu, liczne tartaki, papiernie i fabryki celulozy, sprawiają, że Finlandczycy na ogół mają się dobrze i że przeciętny poziom życia jest bardzo wysoki.

To też, zaraz na wstępie, uderza przybysza niesłychanie porządną, a

przy tym równy wygląd publiczności. Ubranie robotnika czy chłopca na posyłki, prawie się nie różni od ubrania urzędnika czy kupca.

Nie widzi się tu ludzi może świetnie wystrojonych, ale za to przez cztery tygodnie mego pobytu na północy nie zdarzyło mi się widzieć — nie tylko żebraka — ale nawet, w brudne lub obszarpane ubranie odzianego człowieka.

Ludzie, pracujący przy budowie, przy naprawie ulic, przy ładowaniu pak w porcie, mieli wygląd solidny i czysty. Jeśli zajęcie tego wymagało, nosili obszerne gumowe, skórzane lub płócienne fartuchy.

Na każdym kroku znać tu pracę, so-



Mapa Finlandii. Białe plamy oznaczają jeziora. Wyżłobił

je przed tysiącami lat potężny lodowiec posuwający się z Szwecji i Norwegii. Na wschód od Finlandii leży Rosja, na północ Norwegia, od zachodu Szwecja, zatoka Botnicka, od południa zat. Fińska. W kole: Herb państwa Finlandii. W 12 wieku został ten kraj podbity przez Szwedów. Przeszło 600 lat później, w kilkanaście lat po naszych rozbiorach, zagarnęła go Rosja. Odtąd nastały dla Finów ciężkie czasy. Prześladowani — jak my — nie wyrzekli się odzyskania niepodległości. Stało się to w 1917 r. W ostatniej chwili chciała Rosja zadławić jeszcze Finlandię, darząc ją rewolucją bolszewicką. Stłumiono ją przy pomocy armii niemieckiej, za co Finowie są Niemcom szczególnie wdzięczni.

lidność i — dobrobyt. W Finlandii nie ma kryzysu, nie ma kwestii bezrobocia, nie ma strajków i zawziętych, pełnych nienawiści walk partyjnych. Jest za to ogromna rzetelność i zupełnie nieprawdopodobna uczciwość.

Jestem przecież w Finlandii, tutaj nie kradną...

Nie można sobie nawet wyobrazić, by znalazł się tu rzemieślnik, kupiec, czy jakkolwiek pracownik, chcący swego klienta wyzyskać, „nabrać”, wziąć pieniądze, a nie dać w zamian uczciwej, jak najlepszej pracy.

To też ludzie odnoszą się tu do siebie z dużym zaufaniem i zaufanie to szybko udziela się przyjezdnym cudzoziemcom.

Jakże zresztą mogło by być inaczej! — W kilka dni po przyjeździe wybrałam się ze znajomymi na wycieczkę statkiem wzdłuż przepięknych brzegów morza. Wyjeżdżaliśmy rano. Naturalnie zasnęłam, to też przy ubieraniu wszystko leciało mi z rąk w pośpiechu.

— Czapka! — Palto! — Woreczek! — Gdzież ten szalik? — No! Trudno! Prędszej! Prę-



Na lewo: Helsinki (Helsingfors) — stolica Finlandii, zwana także „białym miastem północy”. Ma zaledwie 270 tysięcy mieszkańców (tyle co Poznań).

dziej! — I już biegnę ulicą ku jasnej widocznej z dala przystani.

Spędziwszy przepiękny dzień na srebrzystych wodach, między małąkami wysepkami, otaczającymi wieńcem południowo-zachodnie wybrzeża Finlandii, wracam wieczorem zachwycona i rozbawiona do domu.

Dochodząc do wejścia willi, gdzie mieszkałam, staję przykuta przerażeniem do miejsca. Drzwi do willi, drzwi do holu i do pokoju na przestrzali otwarte. Po prostu w pośpiechu zapomniałam je zamknąć. Mimo to wszystko w zupełnym porządku, nawet pieniądze pozostawione na stole zastałam nietknięte.

A nie jest to wyjątkowy wypadek. Na północy na przykład, w Laponii, gdzie urzędy pocztowe są niezmiernie rzadkie, odbiór i wysyłka poczty odbywa się w oryginalny sposób.

Otóż wzdłuż jedynej szosy przebiegającej niezmiernie ciemne lasy, stoją co kilkaset metrów, na niewysokich słupkach małe, otwarte drewniane pudełka, chronione daszkiem. To takie sobie proste skrzynki pocztowe. Tam obsługa pocztowego autobusu wkłada paczki i przesyłki dla mieszkańców odległych osad i zagród, i stąd wyjmuje pozostawione przez nich listy i pieniądze na opłatę pocztową.

Każdy zostawia je tu spokojnie, wiedząc, że tej gotówki, leżącej dosłownie na drodze, nikt nie ruszy ponieważ jest — cudza. Obok rzetelności i uczciwości znać tu na każdym kroku ogromne zamięrowanie do czystości. Czyste są domy i ulice, czyste mieszkania i podwórka, czyste tramwaje i wagony, a nade wszystko — ludzie.

„Sauna“: z gorącej pary na... śnieg!

Największym zamięrowaniem Finlandczyków jest „sauna“. To specjalna łaźnia, polegająca na przeraźliwych zmianach temperatury. Raz, namówiona przez naszych fińskich przyjaciół, pozwoliłam się tam zaprowadzić.

Po wyprażeniu w 67 stopniach gorąca kazano mi wskoczyć do lodowatego basenu i pływać. Nigdy nie byłabym się zdecydowała na taki wyczyn, lecz właśnie przede mną uczyniła to starsza, zupełnie siwa pani. Zaśmiewając się z mego przerażenia, młode Finki opowiadały mi z zapałem, że daleko przyjemniej jest zaraz po wyjściu z gorącej pary wytarzać się w śniegu.

Muszę przyznać, że nie żałowałam swojej odwagi. Wyszłam z tej łaźni wypoczęta, świeża i w świetnym humorze. Nie ma w Finlandii tak małego miasteczka, wsi, czy nawet zagrody,

gdzieby nie istniała, choćby mała „sauna“.

Słyszałam też, że przed Olimpiadą zawodnicy fińscy zażądali, by w wiosce olimpijskiej wybudowano im „saunę“; inaczej nie zgadzali się brać udziału.

Każdy, kto interesuje się sportem, słyszał wielokrotnie o fińskich biegaczach (Nurmi), pływakach, narciarzach. W Finlandii poczyna się rozumieć ich znakomite wyniki. Sport jest tu tak rozpowszechniony, że po prostu nie widać chłopca lub młodego człowieka bez odznaki jakiegoś klubu.



Punka-chariu, wspaniały labirynt jezior. Wśród wód ciągnie się 7 km długa, porośnięta świerkami smuga ziemi (pamiętka po lodowcach), zataczając malowniczo zakręty. Środkiem biegnie szosa. Ciemna ława drzew odbija się w nieruchomej tafli, a wszystko owiane jest ciszą i smętkiem.

Kobieta — konduktorem, kelnerem a nawet... naczelnikiem stacji!

Chcąc zwiedzić jeden z klubów sportowych, dość odległy, wsiadam do porządnego, złotego tramwaju. Z uprzejmym uśmiechem podchodzi do mnie konduktor — kobieta!

Okazuje się, że tu w Finlandii wyłącznie kobiety stanowią (prócz motorniczych) obsługę tramwajów, przeważnie kobiety są kelnerkami, kobiety zajmują znaczne stanowiska w kolejnictwie.

Jaką niezwykłością było dla mnie, gdy na dużym dworcu ujrzałam naczelnika stacji kobietę! W czerwonej czapce, w granatowym mundurze z plisowaną spódniczką, energicznie i sprawnie kierowała zawilim ruchem kolejowym.

Omów nie zostałam na peronie, tak bardzo zainteresowało mnie to nieznanne u nas zjawisko.

Prócz Skandynawii nie ma bodaj na świecie kraju, gdzieby kobiety tyle i tak znaczne zajmowały stanowiska jak w Finlandii. Nie jest to zbyt dziwne, tu bowiem najwcześniej w Europie kobiety poczęły kończyć wyższe studia i tu również najwcześniej, bo w 1906 roku, otrzymały równe prawa polityczne.

Przez 10 dni widziałam w stolicy ledwie 7 koni!

Tramwaj wiezie nas przez piękne ulice stolicy Helsingforsu. Wznosi się tu wiele wspaniałych gmachów: parlament, nowoczesny dworzec i t. d.

Ruch znaczny a mimo to hałas względnie mały. W Helsingforsie bowiem nie wolno używać żadnych sygnałów: ani klaksonów, ani trąbek samochodowych, dzwonek tramwajowych czy rowerowych i t. d.

Szoferzy jeżdżą ostrożnie i ściśle trzymają się przepisów, publiczność więcej uważa i dzięki temu wypadków tu mniej niż u nas, gdzie na ulicach miast panuje często ogłuszający harmider.

Wśród przejeżdżających pojazdów są auta prywatne, piękne taksówki, autobusy i ciężarówki, liczne rowery — lecz brak koni. Przez dziesięć dni pobytu w stolicy widziałam ich zaledwie 6 czy 7. Do rozwoju motoryzacji przyczyniają się doskonałe, świetnie utrzymane szosy i dostępna cena benzyny, kosztującej tu około 24 gr. za litr.

Nie tylko automobilami, ale również kolejami i statkami ludzie jeżdżą tu dużo. Zresztą wszelkiego rodzaju wycieczki, krótsze lub dłuższe podróże i t. d. są znakomicie zorganizowane i bardzo rozpowszechnione. Na t. zw. week-end'y (czyt. uik endy, „koniec tygodnia“, t. j. wyjazd na pół soboty i niedzielę) wyjeżdżają tu wszyscy: dyrektorzy, robotnicy, urzędnicy i służące, sklepikarki i szoferzy. Kosztuje to grosze, a ileż daje korzyści! Każdy pragnie zażyć świeżego powietrza, odпочać, nacieszyć się słońcem i wodą.

Bo woda jest tu wszędzie: morze pokryte niezliczoną ilością małych, skalistych wysepek, porośniętych zielonym lasem, a dalej w głąb kraju rzeki i jeziora — jeziora — jeziora.

Finlandię nazwano słusznie „krajem tysiąca jezior“; jest ich tu bowiem 60 tysięcy!

Jeśli ktoś chce poznać Finlandię, musi zobaczyć wodospady Imatry (największe w Europie) i musi odbyć podróż po „wewnętrznych jeziorach“. To też i ja, obliczywszy starannie swoje

chude kapitały, wyruszyłam w wielką, okrężną podróż.

Zwiedziwszy portowe miasto Wyborg (Viipuri) i jego piękny zamek, stanęłam wieczorem w małej miejscowości Imatra. Zająwszy niezmiernie tani pokój — w doskonałym hotelu, co prędzej biegnę nad brzeg rzeki ku wodospadom, których szum i huk słyszać z dala.

Zmrok już zapadał. W jego niepewnym świetle ujrzałam nagle potężne, olbrzymie, spienione wały wodne, przevalające się z rykiem między czarnymi zębami skał.

Woda wyzłobiła sobie tu w granitowych ścianach wąską gardziel, którą przedzierają się olbrzymie masy wód jeziora Saima do jeziora Ładoga.

Przerażające i niesamowite wrażenie robią pędzące z hukiem, z szumem, z sykiem, olbrzymie białe fale. Niosą na swych postrzępionych grzbietach wielkie zwały pni, które poprzez wodospad i siłą jego prądu spuszczone są na południe kraju.

Czarne, ociekające wodą kłody drzewa osiadają często na brzegu, zwłaszcza dalej, poniżej wodospadu. Dostęp do nich łatwy: wokół las, nikt nie widzi. Wydaje mi się dziwne, że nie ma „amatorów cudzego dobra”, którzy by zabrali choć część. Ah! prawda — uświadamiam sobie nagle — jestem przecież w Finlandii. Tutaj nie kradną!



Stary zamek nad jez. Saima. Urok Finlandii jest szczególny. Piękne są tu zachody słońca, które zależnie od okolicy, przypadają między 9 a 11 wieczorem. Słynne są też „białe noce”: podczas nich nawet o północy jest tak jasno, że można czytać gazetę w środku pokoju.

Na prawo: Finowie są mongolskiego pochodzenia, ale w żyłach ich płynie spora domieszka krwi germańskiej. Są niskiego wzrostu, za to silnie zbudowani. Cisi, spokojni, solidni, od wieków są zżyci z przyrodą, z którą co krok stykają się bezpośrednio. To też ukochali ją, a przyroda darzy ich zaufaniem. Oto młody reniier podchodzi spokojnie do szotera, który odpoczywa.

Z dala poza wodospadem widać wielkie betonowe słupy: to tama elektrowni. Olbrzymi wodospad porusza bowiem elektrownię o sile 140 tysięcy CV, zaopatrującą w prąd ogromną część kraju.

Dalsza droga wiedzie mnie już przez ogromne, przepiękne, kryształowe jeziora. Po srebrzystej tafli sunie biały stateczek, zielone wyspy ukazują się przed nami — to zbliżają się zewsząd, zastępują drogę i płyniemy wąskim, zielonym kanałem — to znów uciekają daleko na boki tak, że znajdujemy się na wielkiej przestrzeni jakby otwartego morza.

Drzewo — „fińskim złotem“. Płyną wodą „pociągi drzewne“.

Wszystkie te wyspy i wysepki, przylądki i przesmyki pokrywa gęsty, sosnowy las. Aż dziw bierze, gdy się nań patrzy. Skąd te smukłe, dość cienkie drzewa czerpią potrzebne do życia soki? Wszak widać jedynie głązy i skały i osypiska i znów lity kamień.

Doprawdy chwilami wydaje się, że chyba zgromadzone są w tym kraju granity z całej Europy!

Czasem wśród drzew ukazuje się maleńka osada lub zagroda. Drewniane domki pomalowane są na kolor rudy, zaś belki, futryny i okna na biało; robi to zabawne i wesołe wrażenie.

Kilkakrotnie spotykamy t. zw. „pociągi drzewne”: mały, zasapany stateczek ciągnie za sobą niesłychanie długi rząd tratw, powstałych ze zbitych bali i pni. W ten sposób setki i tysiące metrów drzewa dążą z głębi lasów do wielkich tartaków i fabryk, skąd po przerobieniu rozesłane zostaną okrętami na świat cały.

Drzewo to największe bogactwo Finlandii i najważniejszy artykuł wywozowy. Poza tym służy ono jako budulec (wsie i miasteczka budowane są wyłącznie z drzewa) i opał. Nawet pociągi i statki są tu opalane drzewem.

Maria Mikorska.



Fiński positek. Chleba takiego jak nasz, nie znają Finowie. Za to kilka razy w roku wypieka się smaczne placki z żytniej mąki, a potem wiesza w spiżarni.



Francoiszek Dończyk

HYMN O DOBREJ PRASIE

Uchroń Boże nas i dzieci
od zła, od fałszywie świeci.
Z domu, z kiosku i z czytelnicy,
z biblioteki i z uczelni
niechaj zniknie zła lektura,
w znak niech daje się cenzura
zwolennikom pornografii,
erotyzmu, zła i mafii.

My chcemy dobre książki czytać
i czasopisma czyste mieć,
gazety dobre będziem witać,
a podłe niszczyć, palić, drzeć!
Potępiam będziem ludzi,
siejących wśród nas grzech.
Precz z pornografią, oo wstret budzi,
precz z lichą prasą z naszych strzech!

W świetle księżyca

— Jasiu, drogi kochany chłopcze, los cię do mnie zesłał! Musisz mnie wybaczyć z kłopotu. Mam, jak to się mówi, nóż na gardle.

— To musi być bardzo przykre uczucie!

— Jeszcze jedno takie zdanie, a nie odpowiadam za siebie!

— Franeczku najdroższy, przecież wtedy będziesz całkowicie szczęśliwy, gdyż człowiek nieodpowiedzialny nie płaci podatków, a wikt i opierunek ma za darmo — na koszt skarbu.

Na te słowa pan Franciszek Apoloniusz, dwojga imion Przylepski poczerwieniał, jak mak polny, po czym w dłoń ciężką, choć niezbyt do pracy przywykłą, ujął ciężką, marmurową popielniczkę, mając najszczęśliwy zamiar rozbić głowę przyjacielowi.

Jan Orcha, zwany na codzień Jasiem, spoglądał na te wszystkie zabiegi wzrokiem pogodnym i jasnym, w którym daremnie szukałbyś niepokoju lub trwogi. Znał on Franka, z którym w życiu spożył niejedną już beczkę soli i piwa, tak dobrze, jak nikt inny. Przybrał więc jeno twarz w wyraz głębokiej powagi i odezwał się:

— Jeżeli mnie zabijesz, nie tylko, że nie wybawię cię z kłopotu, lecz narażę na niepotrzebne wydatki. Przecież będziesz się musiał zająć moim pogrzebem. A dzisiaj wszystko takie drogie. Ha, trudno! — kryzys!

Pan Franciszek popatrzył na przyjaciela nieco nieprzytomnie, potem zajączał, jak niedźwiedź raniony, wreszcie wystękał:

— Jasiu, nie dręcz. Pomóż!

— O co chodzi?

— Wzywają mnie w pilnej sprawie do Wilna, a wiesz dobrze, że nie mogę ruszyć się z miejsca, nie zostawisz w biurze nikogo. Pomyśl sam, jakie to wyrze wrażenie! Przychodzi do znanego, prywatnego detektywa Franciszka Apoloniusza Przylepskiego klient, bombarduje do jego biura pod nazwą „Zielony trójkąt”, a tu nie zastaje nikogo.

— No to co?

— Jak no to co? Czy ty nie rozumiesz? Reputacja bierze w łeb. Więcej do takiego detektywa, który zamiast siedzieć na miejscu, wyjeżdża w nieznane, nie przyjdą. W tym tkwi sęk. Pojąłeś wreszcie?

— Niezupełnie, ale jestem już na dobrej drodze!

— Jasiu, żarty na bok! Sprawa jest poważna i musisz mi pomóc. Wyjeżdżam na dwa dni. Ty przez ten czas zastąpisz mnie w biurze, zapomnisz o dziennikarstwie, o kłamliwych artykułach, o atramencie i bibule, a przedzierzgniesz się w znanego detektywa. Ja tak często zmieniam ubiór, twarz i całą postać, że nikt nie domyśli się. Chodzi jedynie o to, żebyś był na miejscu.

— Ależ...

— Żadnego ale. Tu chodzi o dobre imię „Człowieka z żelaza”. Wiesz prze-

cież, że „Człowiek z żelaza” to ja, twój dobry przyjaciel, a zarazem postrach bandytów, oszustów i zbrodniarzy. Muszę być zawsze na zawołanie, nie mogę zawieść zaufania. A że moi wszyscy zastępcy chwilowo się porozjeżdżali, przeto ty usiądziesz w biurze „Zielonego trójkąta” — ładna nazwa, co? — i przemienisz się na dwa dni w „Człowieka z żelaza”. Nie protestuj. Tu nie ma innej rady.

— Franusiu, nie mogę. Ja boję się rewolweru, myszy, złodzieja i bandyty. Lękam się ciemności i trupów. Lubię pisać o zbrodni, no, bo nieszczęście chciało, że jestem dziennikarzem, ale zmierzyć się tak oko w oko ze zbrodnią! Br! To nie na moje nerwy.

— Przecież, ciemnego, zastanów się, nie będziesz urządził żadnych wypraw na złoczyńców. Posiedzisz jedynie w biurze, przyjmiesz zlecenia i już. Fraszka!

— No tak, ale poza tym.

— Aha — więc jest jeszcze i poza tym. Wiem, wiem, nie tłumacz się. Jeszcze ta, „dziewczynka z afisza” — co?

— Proszę cię, Franku, jeszcze jedno słowo, a opuszczam ten brudny lokal, który powinien zwać się zatęchłą norą, a nie „Zielonym trójkątem”.

— No dobrze, już dobrze, ty stary koniu! Nie będę już o tym mówił, ale musisz mi przyrzec, że mnie zastąpisz. Zaklinam cię na naszą przyjaźń, na wspólnie spędzone dzieciństwo, młodość i wiek męski — wiek kłęski, jak mówi wiesz Słowacki.

Orchę aż poderwało.

— Mickiewicz! nie Słowacki, ty pokątny detektywie!

— Dla ciebie, Jasiu, wszystko, bylebyś się tylko zgodził. No, zgódź się, Jasiu, zgódź! Zrób to dla mnie!

Tu Franio Przylepski objął czule swego przyjaciela i jak prawdziwa przylepka pocałował go po twarzy.

Orcha przez chwilę zachowywał powagę, potem jednak uśmiechnął się.

— I to ma być „Człowiek z żelaza” i „Postrach bandytów”. Dzieciuch! Przystań! Zostaję!

— Zostajesz? Odetchnąłem. Więc zostań, bo ja wyjeżdżam. Pamiętaj zdać mi po powrocie dokładne sprawozdanie ze wszystkiego, co tu się działo. Notuj pilnie. Raz ci jeszcze dziękuję i bywaj zdrow.

— Poczekaj chwilę.

— Ani sekundy. Najwyższy czas. Za 15-cie minut odchodzi pociąg. Pa!

— Pa! — odrzekł Orcha, a w odpowiedzi zawtórował już tylko odgłos szybko oddalających się kroków.

Jaś Orcha obejrzał dokładnie pokój, następnie spojrzął na zegarek. Dochodziła 4-ta.

— Do 6-tej muszę tu siedzieć — mruknął. — A to mnie ubrał.

Zapalił papierosa i zadumał się.

— „Dziewczynka z reklamowego afisza” — westchnął po chwili. — Oby ta zjawa ucieleśniła się w jakikolwiek

bądź sposób. Lecz to są marzenia, nigdy nie spełnione marzenia ściętej głowy. A życie tymczasem trzeba brać poważnie, patrzeć na nie jak na wksel o pewnej nieodwołalnej dacie spłaty, a nie jak na wiersz płynący z serca i rozkwitły marzeniem. Lecz cóż, nie zmienię już swego charakteru ani sposobu patrzenia na świat i ludzi.

Tak to sobie rozmyślał Jan Orcha, po czym zapatrzył się w fotografię ślicznej dziewczyny.

— Moje marzenie! — powiedział do siebie głośno.

Historia zaś tego „marzenia” była nadzwyczaj ciekawa i niecodzienna. Na osobie młodego dziennikarza spełniała się raz jeszcze stara prawda, mówiąca, że życie jest po tysiącokroć ciekawsze od najbardziej sensacyjnego romansu.

Przed kilku miesiącami ujrzał Jan Orcha na słupie reklamowym afisz, reklamujący najzdrowszy ponoś proszek do zębów. Z afisza uśmiechała się do przechodniów śliczna dziewczyna, pełna niewypowiedzianego uroku i czaru.

— Tak musiałby wyglądać wiosenny poranek — stwierdził Orcha i zapatrzył się w promienną twarzyczkę, która najwyraźniej kusila spojrzeniem przeczystych oczu.

Napróżno młody człowiek odpędzał od siebie tajemnicze uroki. Ani się spostrzegł, jak „dziewczynka z afisza” papierowym wzrokiem wdarała mu się w serce.

— To jest wybitnie niezdrowy i nie-normalny objaw — przekonywał siebie Orcha, co mu nie przeszkadzało jednak dowiadywać się na wszystkie strony bliższych szczegółów o pięknej dziewczynie.

Lecz wszędzie napotykał na tysiące przeszkód. Dyrekcja firmy „Zębodroji”, do której zgłosił się po bliższe informacje, nie interesowała się tak dalece nazwiskiem pięknej modelki, aby pamiętać o nim po upływie kilku miesięcy. Fotografowie, do których się zwracał, wzruszali ramionami, a z ich twarzy wyraźnie można było wyczytać, że posiadają natrętnego jegomościa o lekkim i na razie nie zbyt dostrzegalnym obłędzie.

Dziennikarz więc zaprzestał poszukiwań. Ukradkiem jeno odfotografował afisz, nie zdając sobie sprawy z przestępstwa i odtąd nie rozstawał się z podobizną dziewczyny.

Ze swej tajemnicy zwierzył się jedynie Franiowi, zwanemu, jak wiadomo, „Człowiekiem z żelaza”. „Człowiek z żelaza” posłyszawszy tę nowinę, wiał się z godzinę ze śmiechu, przy czym takie wyczyniał podrygi, że przypominał raczej „Człowieka z gumy”.

— Toś mógł już zakochać się w mumi egipskiej — dogadywał przyjacielowi. — Skutek byłby ten sam.

— Bardzo cię przepraszam — tłumaczył się Orcha — ja się w afiszu jeszcze nie kocham. Przerozmaite dudki i półgłówki męskie durzą się w podobiznach wszelkich ciemnych gwiazd filmowych, a nowomodne pannice kocha-

ją się na zabój w wymokłych typkach filmowych, zwanych tylko chyba dlatego gwiazdoram, że także straszą, ale już nie dzieci, lecz cały rozumny świat. Dlaczego mnie się nie ma podobać „dziewczynka z afisza”? Co jej możesz zarzucić? Jest miła, urocza, a przede wszystkim nie dzisiejsza. Rozumiesz? — nie dzisiejsza! To znaczy, że ma dużo wdzięku i kobiecości. Ot co!

I toczył tak groźnie okiem, jakby świat cały pragnął wzywać do walki. Więc detektyw Franio kiwał jeno litościwie głową i szeptał:

— Miej go, losie, w swej opiece, bo inaczej zginie ten człowiek marnie.

Ten człowiek zaś nie ginał, lecz czuł się z każdym dniem lepiej. Po pewnym czasie sam począł bagatelizować swoją miłość, choć w głębi serca przyznać musiał, że nie wszystko jest znowu takie proste, jakby się chciało. To też często spoglądał na fotografię i zawsze dochodził do jednego wniosku, który ubrany w słowa mniej więcej brzmiałby tak: A jednak ta dziewczyna jest śliczna.

Boleśnie długie godziny urzędowania skracał sobie mniej więcej w ten sam sposób i czułby się zupełnie szczęśliwy, gdyby głośnie pukanie do drzwi nie przypomniało mu przykrego zastępstwa.

— Proszę — rzekł głośno, skrzętnie zarazem chowając fotografię.

Do pokoju wszedł wysoki, szczupły mężczyzna, o zniszczonej nerwowej

twarzą. Nogi mu się dziwnie plątały, z całej zaś postaci wyczuć było można jakieś niezwykle osłabienie woli i nerwów. Zgadywało się, że stałym towarzyszem tego człowieka jest ponure nieszczęście i zła niedola. Przymknął za sobą ostrożnie drzwi i chwiejnym krokiem zbliżył się do biurka.

— Czy to „Zielony trójkąt”? — zapytał niepewnie.

— Tak.

— A więc pan jest sławnym detektywem, postrachem złoczyńców, zwanym „Człowiekiem z żelaza”?

Orsza uczyniło się nieswojo. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Przybysz zaś uznał widocznie milczenie za potwierdzenie, gdyż serdecznie uściśnawszy rękę dziennikarzowi, wyrzekł:

— Jestem Adam Horsza — po czym padł na fotel i wystękał:

— Panie, pan mnie musi ratować, błagam o pomoc.

— To niemożliwe — poderwał się Orcha.

— Niemożliwe? Dlaczego? Pan przecież nie odepchniesz nieszczęśliwego człowieka. Wszyscy znają pana dobre serce i uczynność. Dlaczego więc akurat mnie pan odpycha?

— Pan wybaczy, ale nie mam zupełnie czasu. Co dopiero ukończyłem ważne śledztwo. Mogę panu najwcześniej służyć za dwa dni. — A tom wpadł — pomyślał sobie.

— Ja się stąd nie ruszę. Przecież to dla pana frazka, po prostu zabawka, a dla mnie może ocalenie.

Ten płaczący starzec poruszył w Orsze uczucie wielkiej litości.

— A nuż będę mógł mu pomóc — zadał sobie pytanie.

— Może pan opowie, co go do mnie sprowadza? — zapytał.

— Drobiazg na pozór, lecz dla mnie bardzo istotna sprawa. Otóż całą historię muszę poprzedzić krótkim wstępem. Mieszkam we własnej willi, tuż pod miastem. Od dawna już wycofałem się z interesów i żyję z małego kapitaliku. Zawsze prowadziłem spokojny i umiarkowany żywot. Żadnych specjalnych kłopotów i zgryzot, ale też żadnych większych radości. Nie mam ani oddanych przyjaciół, ani zaciętych wrogów. Spokojna dola, przypominająca niebo bez chmurki, lub też jezioro niepomarszczone falami. To może być nieraz ładne, lecz mało ciekawe. Nad moim życiem zapanowała przeciętność, przeciętność dręcząca najpierw, a potem znośna.

— To smutne — przerwał Orcha.

— Można się przyzwyczaić, jak przyzwyczaiło się tylu ludzi. Ale wracam do tematu. Jak pan zdążył zauważyć, w życiu moim nie ma nic ciekawego. Może tylko jedna rzecz. I ta właśnie przywiodła mnie do pana.

(Ciąg dalszy nastąpi)

„Zakładamy bibliotekę w naszym domu“

IV. i ostatnia część konkursu dla wszystkich abonentów i czytelników „PRZEWODNIKA KATOLICKIEGO“

Na podstawie powieści Kossak-Szczuckiej „Puszkarz Orbano“, której ostatni odcinek przynosi dzisiejszy nasz dodatek powieściowy, należy podać trzy najważniejsze przyczyny upadku Konstantynopola, „miasta strzeżonego przez Boga“.

Odpowiedź winna być ujęta najzwężej i **nie przekraczać trzech zdań**. Odpowiedzi dłuższe **nie będą uwzględnione**.

Za najlepsze rozwiązanie **wszystkich części konkursu** (trzy poprzednie części oraz warunki zamieściliśmy w nr. 34, 39 i 44 „Przewodnika Katolickiego“) przewidziana Redakcją następujące nagrody:

Dla abonentów: I-sza nagroda 30 zł; II-ga nagroda 20 zł; III-cia nagr. — 4 nagrody po 10 zł.
Dla nieabonentów: I-sza nagroda 20 zł; II-ga nagr. — 15 zł; III-cia nagr. — 4 nagrody po 5 zł.

Ponadto postanowiliśmy, chcąc zrobić naszym czytelnikom niespodziankę gwiazdkową, dać jeszcze jedną dodatkową nagrodę 20 złotych. **Kto ją otrzyma?**

Spośród tych mianowicie, którzy uzyskają w konkursie jedną z wyznaczonych nagród pieniężnych, wylosujemy jedną osobę, której podwyższymy tę nagrodę o ową sumę 20 zł. O wyniku losowania zawiadomimy zdobywcę nagrody, który **musi jednak natychmiast po otrzymaniu naszego listu**, przesłać do redakcji porządnie oprawione dwa nasze tegoroczne dodatki powieściowe, t. zn. „Moje Wspomnienia“ — Dowbora Muśnickiego i „Puszkarza Orbano“ — Z. Kossak-Szczuckiej.

Książki te odeślemy właścicielowi na nasz koszt. Kto więc pragnie starać się o podwyższoną nagrodę, **winien już teraz nasze dodatki powieściowe mieć oprawione**.

Pragniemy bowiem zachęcić szerokie koła naszych przyjaciół do oprawiania naszych dodatków powieściowych; te oprawione książki stanowią początek pożytecznej i wartościowej biblioteki domowej.

Rozwiązania nadsyłać prosimy wyłącznie na kartkach pocztowych, przy czym uwzględnić należy **wszystkie części konkursu**.

Termin nadsyłania rozwiązań mija **3 stycznia 37 r.**

Rozstrzygnięcie konkursu ukaże się w numerze na **24 stycznia 37 r.**

Adresować: Redakcja „Przewodnika Katolickiego“, Poznań Al. Marcinkowskiego 22 (na wielki konkurs Przewodnika).

Brat Albert, twórca wielkiego dzieła miłosierdzia w Polsce

(Objaśnienie obrazka frontowego)

W środku szlachetna postać Brata Alberta. Ona dostojnością swoją i uduchowieniem oblicza pierwsza przyciąga nasz wzrok. Za nim bracia, przed nim i na prawo siostry zakonu, który

utworzył dla dzieła czynnego miłosierdzia nad nędzarami, bezdomnymi, sierotami, żebrakami, wykolejeńcami, włóczęgami, przestępcami.

Ten szlachcic-ziemianin, powstaniec z r. 1863, ochromiał przez całe życie od moskiewskiej kuli, świetny artysta-malarz, salonowiec, w jednym dniu, gdy zwiedził nocny przytułek nędzarzy w Krakowie, stał się — Bratem Alber-

tem. W grubym, szarym habicie, w drewnianych trepach wszedł między tych, których Chrystus także odkupił.

U jego stóp żebracy, nędzarze, dzieci opuszczone. Cały obraz rysuje się na tle murów pierwszego przytułku Brata Alberta na Stradomiu w Krakowie. W głębi na prawo kościół na Skalce.

CELINA
BZOWSKA

SPRAWA MĄCZKA

9)

Powieść

— Ale Rysiowi nie mogę tego wszystkiego mówić. Młody umysł nie jest zdolny do miłosiernego wyrozumienia. To dziecko straciłoby wszelkie dla ojca uczucia. Straszna świadomość złamałaby jego gorącą duszę. Utraciłby wiarę wogóle w uczciwość... Nie mogę tego zrobić... Pan nie zażąda, abym synowi do tych przewin się przyznał?...

Umilkł, opuścił głowę, a po chwili przyciszonym głosem rozważał, jakby czyniąc obrachunek sam ze sobą:

— Całe życie gonitwy za majątkiem doprowadziło mnie do tej ostateczności, iż nie posiadam nic, coby coś warte było... Ani mienia, na którym oprzećby można sumę pożyczaną, ani słowa, które by wzbudzało wiarę u ludzi. Jedyną nadzieję ratunku opieram na kradzionym przedmiocie, jeżeli skrzywdzony przeze mnie człowiek zechce go odebrać, dając mi jałmużnę i wierząc poleceniu dziecka...

Zawierz mu, on jest uczciwy! To jest łaska, o którą przyszedłem błagać... Bezwiednie w ten sposób spłaci syn częściowo winę ojca.

Staszku, zgódź się! Przystań!

Profesor poruszył słowami i postawą Mączka wyciągnął ku niemu rękę na znak zgody. Adwokat pochylił się, chciał tę pomocną rękę ucałować. Staszek objął go opiekuńczo i usadowił ponownie w krzesle widząc, iż drży z wysiłku.

— Godzę się — rzekł jasnym, szczerym głosem — ale nie na żadne fikcyjne sumy w kwiecie. Zrobimy to inaczej, po prostu. Dam panu jako pożyczkę trzydzieści tysięcy, podpiszemy ten akt przy Rysiu i świadkach, a Rys zobowiąże się po dojrzeniu do pełnoletności zwrócić mi kapitał z procentami, łatwo wtedy uzyska hipoteczną pożyczkę na dom i tem mnie spłaci. Nie kupuję willi, daję tylko na nią pożyczkę.

Nie chcę fałszywych kwitów, nie chcę pańskiego syna pozbawiać równie mu drogiej siedziby, jaką była ongiś dla mnie.

Już dawno przeboleiałem wydziedziczenie. Nie chcę, żeby on młody przechodził podobne chwile gorzkiego wyzucia i możliwego rozżalenia do mnie...

Tym razem twarz Mączka nie wyrażała rozradowania. Ciężki namysł spinał mu czoło, po chwili zmagania się ze sobą odparł szeptem:

— Jesteś najszlachetniejszy z ludzi, jakiego kiedykolwiek spotkałem... Ale w imieniu syna nie przyjmuję twego miłosierdzia.

W cierpieniu człowiek uczy się patrzeć... Wiem już teraz, że krzywda musi być zwrócona. Złe nabyte mienie mści się okrutnie.

Ta willa grzechem nabyta, nie przyniosłaby szczęścia Rysiowi, jak mnie go nie dała. Stojąc nad grobem widzę, żem źle kochał syna, próbując go bogacić krzywdą ludzką.

Nie chcę, aby moje winy zaciężyły na nim.

Z moich poborów adwokackich wpłaciłem ubezpieczenie na życie. Z chwilą mej śmierci Rys otrzyma kapitał wystarczający na utrzymanie matki i dokończenie studiów. Do tych pieniędzy ma prawo. To uczciwie był zarobiony grosz.

Reszta, te wszystkie złote interesa, do których przystępowałem ze szkoda bliźnich, wszystko się w proch rozsypało! Grosza z nich nie odziedziczy mój syn...

Widzę w tym palec Boży. Bóg nie chciał, aby moje złe poczynania zaciężyły nad niewinnym dzieckiem. Nie dopuścił, aby złe zarobione pieniądze dostały mu się w spadku. Ta myśl jest mi pociechą w tej okropnej chwili... Bom przejrzał!

Jedynie ten dom chytrą zdobytą, a na niego zapisany, grozi jeszcze karą. Gdy go Rys zwróci panu, będę o jego losy spokojny.

Pójdzie o własnych siłach i zacznie czyste i uczciwe życie. Podobnie jak ty poszedłeś z dobrym imieniem ojca i jego szlachetnymi wskazówkami i zdobyłeś szacunek ludzi, a nawet i majątek.

Jakim czołem umierając mógłbym nakazać synowi uczciwość w życiu, zostawiając go pod kradzionym dachem? Nie, nie! Rys nie zachowa nic z wyludzonego spadku!

Przedstawiony ci przeze mnie układ, jest dla mnie ratunkiem, lecz jest zarazem zadośćuczynieniem z mojej strony. Potrójna cyfra na skrypcie dłużnym nie jest fałszem. Ja ci ją jestem winien od lat dwunastu! Nie okłamuję Rysia zaręczając mu, iż jestem ci dłużny całą wartość willi. Ty wiesz o tym najlepiej, i nie masz prawa odrzucać słusznie należącego ci się zwrotu. Gdyby Rys wiedział całą prawdę, nie cbiałby ani chwili pod tym dachem mieszkać, tego jestem pewny!

Mówię z panem jak na spowiedzi. Gdy tu szedł, miałem nadzieję, że mi pomożesz, lecz również drżałem przed słusznymi oskarżeniami pana, drętwiąłem na myśl o pogardliwym spojrzeniu, jakim mnie przywitasz. Byłbym wolał iść w noc śmierci, niż na tę rozmowę z tobą. Ale przypuszczenie, że to ostatnia deska ratunku, że gdy zechcesz, uchronisz Rysia przed hańbą, przemożło. Liczyłem, iż cię skłoni do układu kusząca myśl powrotu do ukochanego domu, że będziesz obmyślał prawne sposoby, by się zabezpieczyć od ryzyka czy oszustwa. Spodziewałem się zastać sędziego i człowieka dumnego z odwetu, deptającego mnie każdym słowem.

A tyś mi na wstępie podał rękę! Omijałeś wspomnienia przeszłości. Gotów wesprzeć mnie, nie wiedząc z czym przychodzę... A teraz wzbraniaś się przyjąć swą własność, myśląc o Rysiu i jego żalu za swą siedzibą, nie chcesz

go wygnać z niej, jak ja cię przed laty wygnałem.

Twoja wielkoduszność była jeszcze jednym promieniem, który oświecił moje sumienie. Rozumiem obecnie sprawiedliwość Bożą i nie pójdę w poprzek niej. Pragnę zgładzić winy zwrotem własności, o ile to jest w mojej mocy. Gdybyś nie przystał na odebranie domu, czułbym się w obowiązku wszystko wyjawić synowi. A wiesz, czym dla mnie byłoby takie wyznanie!...

Układy trwały jeszcze dość długo między obu mężczyznami. Wreszcie Mączek opuścił mieszkanie profesora uspokojony i pogodniejszy. Nie groził mu kryminal. Miał obietnicę szybkiego wpływu potrzebnych pieniędzy.

Po zażegnaniu nieszczęsnej sprawy depozytu, Mączek wyszukał dla swej rodziny skromne mieszkanie, aby oddać w posiadanie willę Stanisławowi. Gdy profesor wstrzymywał go w tym pośpiechu, Mączek odparł głucho:

— Nie chcę tam umierać.

Dożył jednak dwóch lat, dzielących go od ważnego terminu podpisu przez Rysia kontraktu sprzedaży willi. I odechnął z ulgą.

Wszystkie te ważne zajścia zbliżyły obie rodziny. Panie polubiły się i zawiązały szczerze stosunki przyjaźni. Rys stał się codziennym gościem w domu państwa Darzyckich. Odgrywał tam rolę najstarszego i ulubionego brata wśród gromadki ich dzieci.

Z chwilą śmierci Mączka stosunki zacieśniły się jeszcze bardziej.

Profesor zaopiekował się sprawami wdowy i kierował studiami Rysia. W częstych rozmowach z młodzieńcem nigdy słowem nie zachwiał gorącej czi Rysia do pamięci ojca, owszem umacniał w nim wdzięczność do zmarłego, podkreślając jego zalety jako kochającego ojca i człowieka pracy, tłumaczył zaś niepowodzenia majątkowe ciężkim okresem powojennym, który zachwiał niejedną fortuną.

Lata mijały, a gdy profesor spostrzegł, iż między Rysiem a dorastającą Anielką braterska przyjaźń zamienia się w tkliwsze uczucia, uśmiechał się dobrotliwie, snując plany na przyszłość i szeptał:

— Chwała Bogu, i ten chłopiec powróci do drogiej siedziby, gdyż willę przeznaczam w posagu Anielce. A my starzy z nadbudowanego pięterka patrzeć będziemy na szczęście naszych dzieci, które nieświadomie były przyczyną dokonanych ważnych przemian w sercach ich ojców.

— A ty, cioteczko — dodawał rzewnie — widzisz tam z nieba, żem dotrzymał obietnicy: Rysia kocham jak syna.

Święte były twe słowa, ojcie! Przebaczenie zwycięża i szerzy radosny pokój wkoło nas.

Koniec

A jednak... pozwólmy mówić cyfrom!

Od Redakcji: W numerze 46 „Przewodnika Katolickiego” wydrukowaliśmy artykuł p. Czeskiej-Maczyńskiej p. t. *Postęp, który doбира się człowiekowi do gardła*. W numerze 50 pomieściliśmy w streszczeniu odpowiedzi obrońców maszyny i tych, którzy mieli zastrzeżenia co do poglądów i wniosków Szanownej Autorki. Tu dajemy jej odpowiedź na zarzuty i na tym zamykamy dyskusję.

Listy pisane w obronie maszyny przerzucają lub usiłują przerzucić ciężar winy z postępu technicznego na wadliwy ustrój społeczny, na brak współpracy zgodnej wszystkich narodów na tle ekonomicznym i t. d.

Może... ale, czy to nie jest trochę tak, jak gdyby się przerzucało winę z ojca na syna? Bo obecny ustrój społeczny, przerost kapitalizmu wyrósł przecież właśnie z podłoża przerostu technicznego, który po prostu pchnął człowieka współczesnego w szalone tempo interesów, w pogoń za zyskiem, **bez względu na sumienie.**

Tak, świat zatracił poczucie sumienia społecznego.

Bóg, miłość bliźniego — nie ta ze strachu przed przewrotami wszelkiego rodzaju zrodzona, ale ta w sercu mająca początek i źródło — sumienie społeczne, gdyby się one od nowa obudziły w narodach, wtedy też dobra wola zapanowałaby nad przerostem postępu technicznego, przywróciłaby prawo pracy i życia każdemu człowiekowi.

A o to właśnie chodzi.

Nie o jałmużnę, ale o pracę!

Niech do nas przemówią cyfry.

W książce Hermana Hągena — „Wpływ maszyny na bezrobocie” oświetlającej bardzo rzeczowo i intensywnie poruszoną przeze mnie sprawę, znajdujemy ciekawe dane statystyczne o nasileniu bezrobocia w różnych krajach, wyjęte z wykazu międzynarodowego urzędu pracy w Genewie.

A więc, wykaz ten za pierwszy kwartał roku 1936 przynosi następujące dane:

	dla całego zaludnienia	w procentach
	bezrobotnych	centach
Wielka Brytania (kraj macierzysty, to znaczy bez kolonii)	1,879,000	t. j. 4%
Rzesza Niemiecka	1,763,000	— 2,8%
Czechosłowacja	796,000	— 5,6%
Italia (wykaz za październik 35; odtąd dane nie zgłaszane)	609,000	— 1,8%
Polska	475 000	— 1,8%
Austria	392 000	— 6%
Belgia	168,000	— 2,1%
Stany Zjednoczone Ameryki Północnej		10%

Czyli według obliczenia American Federation of Labor — około 10—12 milionów bezrobotnych. Największy procent w krajach przemysłowych.

Czoło postępu i czoło nędzy!

12 milionów bezrobotnych, a z rodzinami jakie 80 milionów ludzi, oczekujących pomocy od rządu i społeczeństwa, aby zdobyć byt, z nędznych najędźniejszy.

Nie pomoże obiad z jednego dania ani pomoc zimowa, bo to są wszystko

tylko środki zaradcze, dorywcze, chwalebne ale nie celowe, **trzeba dać możliwość pracy, a tę może dać tylko rozumne, celowe ograniczenie postępu technicznego.**

P. Hągen w swojej wartościowej książce pisze:

— Należy przeprowadzić rozumne wyrównanie pomiędzy technicznie najwyższą miarą produkcji a możliwościami zbytu.

Otóż przykłady, jakie on przytacza:

Maszyna do cegieł wyrabia dziennie milion sztuk przy obsłudze dwóch do trzech ludzi. Maszyna przędzalnicza najnowszej konstrukcji pozwala jednej, jedynej robotnicy uprząść taką ilość przędzy, jaką przed 150 laty musiałoby być uprząść 45 000 gospodyń, dając pracę jednego dnia.

Przed piętnastu jeszcze laty jeden robotnik przy ośmiogodzinnym dniu pracy produkował 40 żarówek, dzisiaj automatyczna maszyna produkuje w ciągu 24 godzin 73 000 lampek elektrycznych. W roku 1913 robotnik, zatrudniony w fabryce brzytw, wytwarzał dziennie 500 ostrzy, obecnie ulepszona maszyna produkuje 32 000 ostrzy na dzień również z pomocą jednego robotnika.

Podobnie wielki jest również postęp techniki w dziale narzędzi rolniczych. Przy pomocy dwóch ludzi można dzisiaj przeprowadzić żniwa na obszarze 1000 do 2000 morgów.

I ten właśnie przerost wytwórczości nad zapotrzebowaniem, ten brak równowagi gospodarczej świata staje się przyczyną nieszczęścia mas, którym brak pracy, **bo praca to podstawa godności ludzkiej.**

Nie mam pod ręką danych o rzemiośle w Polsce i o tym, jak ono ucierpiało przez potęgę maszyny, ale mam obliczenia dokonane w Austrii. Podam niektóre z nich.

Fabryka chleba założona w r. 1933 dała zatrudnienie 2286 pracownikom, wypiekając chleb w jednym gatunku po jednej cenie, w ilości 200 000 kg dziennie. W tym czasie stan zatrudnienia w piekarstwie zmniejszył się we Wiedniu o 2292 majstrów i czeladników.

W roku 1895 było we Wiedniu 5534 majstrów i 17 791 pomocników i czeladników szewskich, t. j. razem 23 325 pracowników; w roku 1930 pracuje już tylko 5388 majstrów i 8422 płatnych pomocników, a więc razem już tylko 13 810 zatrudnionych. Pracę straciło 9515 pracowników.

Bata w roku 1932 zatrudniał w Czechach w swojej fabryce 20 500 ludzi, ale równocześnie straciło pracę 100 000 majstrów i czeladników.

W Polsce zatrudnił Bata w swojej wspaniałej fabryce około 5000 pracowników, dając im byt dostatni, tworząc doskonały ośrodek pracy, ale tysiące warsztatów szewskich upadło i tysiące ludzi samodzielnych, obywateli dobrych, stanęło oko w oko z nędzą.

Maszyna wytworzyła wprawdzie nowe stanowiska, dała nowe warsztaty pracy, przesunęła, że tak powiem, ciężar pracy z mało inteligentnych na więcej rozumowo uposażonych. Np. w Ameryce, jak pisze Amerykanin Hugo Gersback, w roku 1930 było zatrudnionych w krawiectwie mniej o 74 000 krawców i krawczyń, o 74 000 mniej kowali, natomiast o 687 000 więcej kierowców samochodów ciężarowych, a o 356 513 mechaników.

Maszyna do wyrobu papierosów, tak zw. Spiegelleg-maschine, została zakazana w Austrii i w Rzeszy, bo groziła bezrobociem tysiącom robotnic. Tak to, gdy wóz grozi wykolejeniem, należy go

rozumnie zahamować.

W jaki sposób? Przez zgodne zahamowanie, na jakiś czas przynajmniej, przerostu wynalazków, przez opodatkowanie maszyn i t. d.

Aby mały człowiek, ten najbiedniejszy, mało inteligentny a przecież mający jak inni prawo do życia, nie został skrzywdzony.

Matką jestem, współczuję gorąco wszystkim matkom, które patrząc na swoje dzieci, nie wiedzą, czy znajdzie się chleb i praca dla ich rąk.

I współczuję szczerze tym, którzy pragną pracy a nie mają jej. Pragnęłabym, by ludzie dobrej woli stanęli po stronie tych wydziedziczonych i przyszli im z celową pomocą. Nie tylko u nas, na całym świecie, bo wszędzie jest ta nędza i wszędzie ta krzywda.

Ale na zakończenie pragnęłabym jeszcze powiedzieć jedno dzisiejszemu pokoleniu: **Nie trzeba lękać się trudu, bo praca to nie zło; przeciwnie — to błogosławieństwo Boga dla człowieka, to jego człowieczeństwo znamię.**

A dzisiejszy człowiek w wielu wypadkach sam winien jest swojej doli, bo jest w nim pogarda pracy i lenistwo.

Ostatni przykład: W Warszawie przed kilku dniami zaledwie, potrzebowała gmina do odmiatania śniegu 300 ludzi. Na tysiące bezrobotnych, jakich ma Warszawa, zgłosiło się do tej pracy — 35!

I tak samo w czasie żniw nie można dostać ludzi do roboty w polu.

Gnią w lecie grzyby w lesie, a mogłyby być zbierane i wysyłane zagranicę. Gnią owoce źle zbierane, a miliony wyrzucamy na sprowadzanie tego, co moglibyśmy wytwarzać w kraju.

Więc obok nędzy, którą wytworzył postęp u nas, przede wszystkim winą jest lenistwo i niedbałość pracy. Tysiące rąk mogłyby znaleźć zatrudnienie, ale... gdy potrzeba, to tych rąk dostać nie można.

Z TYGODNIA: Król Edward VIII ustąpił z tronu

Polityka a gospodarstwo

Podczas rozpraw w sejmie okazało się, że posłowie daleko więcej zajmują się sprawami politycznymi i społecznymi niż zagadnieniem gospodarki narodowej. Rząd zaś pominął politykę i w osobie ministra skarbu dużo uwagi poświęcił sprawom finansowym i gospodarczym.

Zwolnić od podatków nowe gałęzie przemysłu

O gospodarce w przemyśle rozwodziło się tylko 2 posłów-przemysłowców (Sowiński i Wierzbicki). A właśnie o tym powinni rozprawić i posłowie nieprzemysłowcy — urzędnicy, robotnicy, rolnicy nawet, gdyż rząd się wsłuchuje raczej w głosy przedstawicieli szerokich warstw ludności. Obaj wymienieni posłowie stwierdzali konieczność rozbudowy przemysłu żelaznego i naftowego.

Pos. Sowiński zalecał zwolnienie na 15 lat od wszelkich danin i opłat tych przedsiębiorstw, które zaczną wytwarzać nowe rzeczy, nie wyrabiane dotąd w Polsce. Powinien być nałożony przymus na fabrykantów, aby składali w bankach gotówkę z zysków na rozbudowę przedsiębiorstw. Ważne znaczenie miałyby dawno zresztą omawiana kolej Śląsk (Katowice) — Wołyń (Kiwercze). Budowa kolei ożywia 100 różnych gałęzi przemysłu.

Sprawy rolne

Minister skarbu zaznaczył, że od 1-go kwietnia rozdrobiono 43 300 hektarów, z czego na parcelację rządową przypada 14 400 ha. Resztę rozdrobnił Bank Rolny i prywatni właściciele (ci 22 tys. ha). Dłużnikom-rolnikom umorzono 242 mil. zł należności.

Posł. Hutten-Czapski skarżył się, że z organizacji rolniczych usuwani są fachowcy, dlatego tylko, że mają swoje zdanie i nie ulegają Ministerstwu Rolnictwa.

Posł. Czapski stwierdził, że w wojew. nowogrodzkiem gospodarstwa, utworzone w drodze komasacji, której dokonano kilkanaście lat temu, są już tak rozdrobione, że znowu komasacja jest potrzebna. Opowiedział się za niepodzielnością gospodarstw i wyraził przekonanie, iż „od zdrowego, opłacalnego rolnictwa” zależy przyszłość państwa.

Co warci są żydzi jako sprzymierzeńcy Polski w przyszłej wojnie? — pytał pos. Dudziński z Bydgoszczy. I odpowiedział żydowi, który mu przerwał: „Naród żydowski był zawsze marnym sprzymierzeńcem, jeśli chodziło o zmaganie się tego narodu, w którego kraju mieszka; był zawsze wrogiem gospodarza. Ze względu na obronność państwa nie możemy pozwolić, żeby miasta i miasteczka znajdowały się w rękach żywiołu obcego. Chłop, wchodząc do miast, bezwarunkowo was, żydów, stamtąd

wycisnie, tak jak wyciskał z kresów zachodnich bez pałek i rewolwerów. Tu nie ma innego wyjścia dla żydów jak emigracja.”

Jaka jest większość w sejmie?

Większość w sejmie jest lekko lewicowa. Sądzić tak wolno z tego, że głównym sprawozdawcą budżetu został pos. Duch, b. legionista, a przepadł p. B. Sikorski z Poznania, przedstawiciel kół gospodarczych, popierany przez zachowawców.



Straszny zwiastun.

Niedługo przyjdzie noc wigilijna — pamiątka betlejemskiej nocy, gdy nad światem zabrzmią pienia niebieskich zwiastunów: Pokój ludziom dobrej woli. Lecz dziś temu pokojowi na świecie zagraża inny straszny zwiastun. Zwiastun zamętu, nienawiści, rozlewu krwi. W czerwonej czapce rewolucji, z czerwoną chorągwią buntu i zemsty za cholewą, komunistycznymi znakami młota i sierpa na piersiach, wyciąga nad całym światem i nad Polską żelazne szpony, chcąc cały świat rozkrwać, utopić w krwi i pozodze. Nasz kraj jest zalany tajnymi wrogami, którzy pracują przeciwko naszemu Państwu a na rzecz rewolucji bolszewickiej. Komintern posyła, oplaca i ochrania tych podpalaczy. Strzeżmy się komunizmu! Zbliża się do nas w różnej szacie! Raz jako miłośnik młodzieży i reformator wychowania; inny raz jako uczony zatruwony o losy nauki; gdzie indziej znowu przychodzi do nas w „froncie ludowym”, sprzymierzonym z masonerią. Front ten chyba w tym jednym usprawiedliwia swą nazwę „ludowy”, że w planach jego tkwi okucie ludu podobnie jak w Rosji w kajdany najsroższej moralnej, społecznej i politycznej niewoli. „Jam jest drogi, prawda i żywot”, rzekł Chrystus o sobie. Tylko prawda Chrystusowa rozświeci dusze i będzie im pochodnią pośród nocy omamień i obłędu fałszu dzisiejszej chwili.

Do naszych abonentów pocztowych!

W czasie od 20. b. m. do 4. I. 1937

przyjmują listowi zlecenia na abonament pocztowy na I kwartał wzgl. miesiąc styczeń 1937.

Prosimy zgłosić się odwrotnie do listonosza, który za kwittem pocztowym zainkasuje prenumeratę złotych 2,30 na kwartał wzgl. 0,80 na miesiąc. Zwracamy specjalną uwagę na zniżkę przy zamawianiu na cały kwartał z góry.

Pod opaską z Administracji miesięcznie również 0,80 zł, kwartalnie 2,40 zł.

Kto nie zamierza pisma abonować w przyszłym roku, winien nas o tym powiadomić

Oddziały Obrony Narodowej

Minister spraw wojskowych ogłosił zaciąg ochotniczy do służby wojskowej w Oddz. Obrony Narodowej na czas 11 tygodni (od 2 stycznia do 20 marca). Przyjmuje się bezrobotnych mężczyzn, urodzonych w latach 1916—1919, i rezerwistów z jazdy, taborów i karabinów maszynowych. Zaciąg ochotniczy odbywać się będzie na G. Śląsku, w Zagłębiu Dąbrowskim, Warszawie, Krakowie, Łodzi, Częstochowie, na Pomorzu, Białymstoku, Rzeszowie, na Podkarpaciu. Poza tym powołuje się na 6 tygodni ćwiczeń rezerwistów i ochotników, bezrobotnych, na ćwiczenia artyleryjskie.

Niespodziewany zatarg króla z rządem wynikł w Anglii. Król Edward VIII poznał parę lat temu Amerykankę panią Simpson, z domu Wakefield, zakochał się w niej i oznajmił w listopadzie premierowi angielskiemu Baldwinowi, że chce się z nią za kilka miesięcy ożenić. Baldwin sprzeciwił się temu.

Pani Simpson (lat 39) bowiem jest dwukrotną rozwódką: pierwszym jej mężem był porucznik marynarki amerykańskiej Spencer, z drugim mężem (też „od marynarki”), zamieszkałym w Londynie, rozwiodła się w październiku.

Królowa musi mieć godną przeszłość.

Otóż rząd angielski uważa, że małżonka króla jest królową, a nie prywatną osobą; jako zaś królowa posiadać musi pewne przymioty moralne, przede wszystkim przeszłość nieskalaną, gdyż królowa angielska przedstawia Anglię w oczach świata. Dwukrotna rozwódka nie przedstawiałaby godnie Anglii wobec Anglików i wobec cudzoziemców.

Przeciw takiemu małżeństwu

Za Baldwinem stanęła królowa matka, brat królewski i zarazem następca tronu książę Jorku, większość ministrów, parlament, rządy kolonij, starsze pokolenie, kościół anglikański i Kościół katolicki.

Katolicy — to się rozumie — nie uznając rozwódki, nie pragną mieć królowej rozwódki. Katolików w Anglii na 48 milionów mieszkańców jest ledwie 3 miliony, stanowią przeto mniejszość, której głos często przechodzi bez echa. Co innego kościół anglikański. Jest on kościołem państwowym i ma wielkie wpływy w kraju. Czemuż nie utracił prawa rozwodowego, które co raz częściej jest stosowane?

Dn. 10 b. m. król Edward rzekł się tronu. Królem zostaje brat jego książę Jorku (41 lat).

W 21. tygodniu wojny

powstańcy gromadzili wielkie sily do stanowczego ataku na Madryt. 20 tys. ochotników z Niemiec i półtrzecia tysiąca faszystów napłynęło do ich armii. Na północy powstańcy musieli się cofnąć, ogołociwszy front z żołnierzy wysłanych świeżo pod Madryt, tak iż „czerwoni” są już o 40 km od Burgos, siedziby rządu powstańczego.

przed upływem bież. miesiąca. Kto tego nie uczyni w terminie, będzie otrzymywał pismo nadal i będzie zobowiązany do pokrycia należności za dostarczone numery.

Odbiorcom ilościowym, którzy pomimo przypomnień należności nie pokryli, wysyłemy jeden z najbliższych zeszytów za pobraniem, o ile nie otrzymamy pokrycia lub odpowiedzi do 22 b. m.

„Przewodnik Kat.” udziela swoim abonentom bezpłatnie porady prawnej.

Adoracje N. S.

20. Janówiec. 21. Klecko. 22. Koldrąb. 23. Łągowiki. 24. Łopiwno. 25. Mieścisko. 26. Modliszewko.

CHLEB DLA POLAKÓW!

W mieście b. Kongresówki (30.000 mieszk.) potrzebny skład farb, techniki dentystycznej, obuwie gotowe, pierwszorzędny fotograf

Pierwszorzędna egzystencję znajdują zegarmistrze oraz rzemieślnicy na mięso wołowe. Potrzebne są również sklepy skór, cholewkarze, czapnicy, kuźnierze.

W mieście wojewódzkim na Kresach brak składu gotowego obuwia.

Jest do objęcia młyn motorowy, świetnie prosperujący, wartości 150.000 zł. Do objęcia potrzeba gotówki 30.000 zł.

W Małopolsce, w mieście 30.000 mieszk., są wolne lokale. Potrzebne tam są sklepy z meblami, księgarnia, cukiernia, sklep z konfekcją oraz skład porcelany i n. czyn.

Informacji w powyższych sprawach udziela Związek Polski w Poznaniu, ul. Pocztowa 27 m. 1, w godzinach między 10 a 13. Posadami Związek Polski nie rozporządza.

Kto pragnie poprzeć akcję Związku Polskiego, niech posługuje się kontem PKO 206 858.

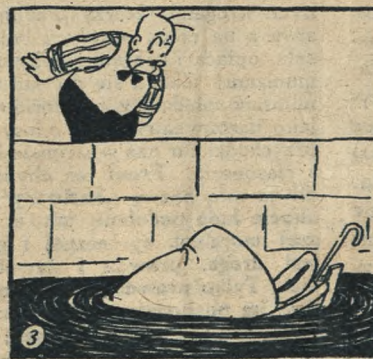
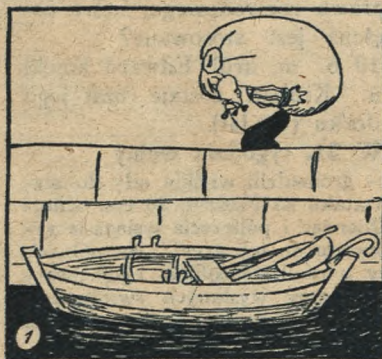


1. Dwóch uśmiechniętych prezydentów: z lewej Vargas (prezydent Argentyny), z prawej Roosevelt (prezydent Stanów Zjednoczonych). W stolicy Argentyny, w Buenos Aires, odbywa się właśnie kongres panamerykański, który ma scementować obie Ameryki. Presse-Photo.

2. W Niemczech nie ma już śladu z postanowień rozbrojeniowych wersalskiego traktatu. Oto ćwiczenia potężnych samochodów ciężarowych, które w czasie wojny umożliwiły błyskawiczne przetrzucanie oddziałów. Presse-Photo.

3. Ćwiczenia austryackiej piechoty: w hełmach, z karabinami w rękę, skaczą żołnierze z okien 1-go piętra na rozpostartą u dołu płachtę.

4. Biedna, mała wieś Dębno (woj. kielecki) wzniosła własnym wyłącznie wysiłkiem wspaniałą świątynię. Konsekracji jej dokonał Jego Eksc. X. biskup Sonik. Na obrazku widzimy chwilę zamurowania relikwii w wielkim ołtarzu.



Większa szkoda niż wygoda.

Choć intym czynisz wyrzuty
I mianem głupców jeć zdołasz,
Nie będziesz mądrym dopóty,
Póki sam głupstwa nie zrobisz.

Przyniosłem srogi wór żyta,
By wieść do młyna na łodzi;
Zrzuciłem z góry i — kwita —
Człek sobie chętnie wygodzi.

Łatwa lecz droga wygoda!
Łódź, wór, kapelusz i laska,
Gdy na łódź się wdarła woda,
Pod wodę poszły — do diaska.

I tylko koła na wodzie
I smętny plusk mówi do mnie:
Bądź mądry czelcze, po szkodzie,
Gdy robisz co, rób przytomnie.

„PRZEWODNIK KATOLICKI” ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MĄŁY PRZEWODNIK” oraz z osobnymi działami „ROŚLA I OGRÓD” i „SPRAWY KOBIECE”.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobnie odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1,70 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2,40 zł, od 10 do 59 egz. po 2,20 zł, od 60 egz. wzwyż po 1,90 zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2,30 zł, miesięczna 80 groszy, łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 266 064 „Przewodnik Katolicki”.

W sprawach dotyczących rękopisów i w sprawach redakcyjnych prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego” w Poznaniu, Al. Marcinińskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: Władysław K. Sosnowski w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki „Malta”.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.